Nr. 10 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | **We Lwowie, 16 maja 1931** **Rok 53**

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie - kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk	zł 6·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska	„ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie	1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie	„ 3·—
— O zwierzyńcu w Katowicach	„ 3·—
Lisowice III. tom	„ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku	„ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek	„ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano	„ 6·—
Ostrowski Stefan: Z piersi myśliwego	„ 2·25
Roczniki „Łowca" z lat poprzednich	zł 15·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r.	„ 20·—
Sztolcman Jan: Żubr	„ 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910	„ —·30
Ustawa Łowiecka	„ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego	„ 3·50
— „Słonka"	„ 2·50
Ziembicki Witold: Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego	„ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

TREŚĆ NUMERU 10:

Nr. 10 We Lwowie, 16 maja 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

ADAM RZEWUSKI

Z wiosennych łowów zeszłorocznych na Polesiu

I.

Jak zwykle od lat szeregu, odbywałem „delicje“ misteryj wiośnianych na gościnnych i wspaniałych terenach pp. Szambelanowstwa Hyczewskich w Tomaszgrodzie oraz w Izbicach pp. Bohusz-Szyszków. Niestety pogoda, przynajmniej w rejonie Sarn, w którym rozplanowane są te łowiska, była „pod psem“. Śnieżyce, deszcze i inne aboninacje!!! Już w początkach marca głuszce grały w najlepsze w okresie pięknych dni tego miesiąca. Atmosferyczne „zgrzyty“ wytworzyły dość długą przerwę oczywiście. Rozpacz jednem słowem!... Cietrzewie, jak szalone już w lutym na drzewach „bełkotały“ zawistnie — a wkrótce też na regularne toki gromadzić się poczęły!...

„Krogallosy“, po moim przyjeździe na Polesie, jakby „od niechcenia“ i „z łaski“ grały!... Nawet miało to miejsce na tak pieczołowicie strzeżonych terenach Izbic p. Prezesa Adolfa Bohusz-Szyszko, pod kustorją tyle sprężystego i miłego strażnika Józefa Fabera!

Kilka dni przedemną mój długoletni i kochany kompan wierzchowieńskich i tylu innych polowań, hr. Józef Stecki, miał podobno kilka ładnych poranków — ja niestety zastałem już „pieśń łabędzią“ głuszców. Głuszyce jeszcze kwokały zawzięcie, prowokując zapędy lubieżnych trubadurów — groch o ścianę!... Klapie, klapie! taki niefortunny kawaler — dwie, trzy pieśni odśpiewa i! — „citus, mutus“ — aż do zlotu ku rozkochanym Juljom!...

Dziwnem się wydać może, że wobec podobnych warunków jednakże padło kilka sztuk tych królewskich ptaków! Pocieszającym objawem jest s t a ł e podniesienie się liczebności głuszców, na Polesko-Wołyńskich tokowiskach!... „Deo, i Ś̈temu Hubertowi gratias! Krótko mówiąc — wiosna tegoroczna była co do wypraw głuszcowych — fatalną!... Miejmyż nadzieję, że przyszła, jeśli Bóg pozwoli doczekać! — będzie lepszą!

II.

Natomiast toki cietrzewie były pierwszej klasy! Wogóle, już od lat kilku da się obserwować z n a c z n e powiększenie się etatów tych tak miłych objektów — n a w s z y s t k i c h łowach Wołynia i Polesia. Doskonale pamiętam w y b i t n e z m n i e j s z e n i e się liroogoniastych w latach p r z e d w o j e n n y c h, nawet tam, gdzie były pilnowane. Później w okresie bestjalskiej rewolucji rosyjskiej z r e d u k o w a ł y się niemal że do zera!... Przypisywano to rozmaitym powodom i przebąkiwano nawet o g a z a c h t r u j ą c y c h, które, rzekomo „masowo je wytruwały“ na terenach byłych działań wojennych!... Jestem zdania, że ponie-

waż — już nie pamiętam — któraś zima przed rokiem 1914, oraz inna, zaraz po wojnie, odznaczała się zawalnością śniegową i całym szeregiem gwałtownych odwilży z wieczora z silnemi przymrozkami nad ranem!... — „Teteruki" w podobną pogodę zazwyczaj w śniegu nocują — biedactwa te więc nad ranem szczelnie zostawały „zablokowane" w swych nocnych kryjówkach!... Na kość zmarzniętych znajdywano ich dziesiątkami później — jak rozpowiadali mi o tem gajowi. Zaiste smutne trofea!... Aczkolwiek zaś zima 1928/29 roku, była bardzo sroga — lecz bez „fluktacyj" atmosferycznych gwałtownych zmian temperatury — na skutek czego cietrzewie, które jak wszystkie „tetraoidy" nie boją się nawet chociażby 60° Reamura (naprzykład na Syberji) — wybornie przetrwały to wszystko i rozmnażać się poczęły, dzięki Bogu, w szalonem tępie!...

To też „dusza myśliwska" aż „rozpływała" się z radości, widząc, że tam gdzieś zaledwie z dobrym legawcem, odnaleźć można było jedno, nieszczelne stadko zeszłego roku — spotykało się już w ubiegłym sezonie 8—10!... Bagatela!... Wiosną zaś tegoroczną, aż „roiło się" granatem szmelcowanych rycerzy. Tokowiska o pojemności 2—3 kogutów, przeistoczyły się w liczące 10—13!... Wspaniałe zaś turnieje, złożone z 50—60!, jak to miało miejsce w słynnych „Katerynkach" pana Michała Peretjatkowicza, czy też w „Zaostrowiu" pp. Hyczewskich, spotykało się bardzo często!... W latach zaś ubiegłych na palcach je przeliczyć można było — jak Polesie długie i szerokie. Toteż nic dziwnego, że w przeciągu tygodnia padło z mej ręki do trzydzieści okazów, a mogłoby paść dwukrotnie więcej, gdyby nie zawsze dobrze ustawiane budki!... W razie pomyślnego lęgu, to cietrzewi latem powinno być „jak gwiazd na niebie!", a na skutek czego rozkoszy bajecznych dla naszej Braci myśliwskiej — też skarbiec niewyczerpany!...

III.

Co do ciągu słonek, to spotkała mię miła niespodzianka — gdyż były one znacznie lepsze od zeszłorocznych! Pomimo, że wietrzne wieczory przeszkadzały — długodziobych było dużo i ciągnęły dobrze! Animusz ich był wielki, że pewnej nocy, kiedy to nawet tak zwane przez poleszuków „wesełyki" (żórawie) ani się odezwały z powodu fatalnej „aury" — słonki jednak ciągnęły i chrapały wieczorem i rano! — Pierwszy raz zaobserwowałem podobne zjawisko! Dobitny to dowód, że „scolopax'ów" nalot był obfity i że widocznie przeloty jesienno-wiosenne odbyły się bez znacznych ofiar w elektrycznych snopach światła latarń morskich, kiedy to ginie taka masa przelotnego ptactwa w ciemne bezksiężycowe noce — a szczególnie tajemniczych „dames aux longs becs"! Nie jeden, z tych żywych uśmiechów Matki Przyrody, pospolicie ptaszkami zwanych, znajduje swój tragiczny koniec w zdradzieckich światłościach nowoczesnych instalacyj. Niejedna główka biedna o twarde szkła aparatów się rozbija. Promienie nadziei dla jednych — zgubę nieraz innym niosą! Oprócz tego, widocznie też, że i ubytek ich, od chciwości „kulturalnych" Europejczyków, był też mniejszy — aczkolwiek zima lekka — więc zatrzymywały się dłużej w krajach, gdzie „czyhają" na nie kohorty całe „wybijaczy-myśliwych", nawet w pułapki żelazne uzbrojonych!...

Lecz Natura ma swe niezbadane metody ochrony, o których nie śniło się żadnemu uczonemu! Podkreślić mogę to z całą pewnością — było ich dużo — tembar-

---

WITOLD HUSAR

W burzliwą noc zimową

— Niedoczekanie ich!... Trupem padnę, a nikt nie powie, że w lasach, gdzie Dembieliński od lat czterdziestu stróżuje, kłusownika widział. Stary ja i wielce już odpoczynku łaknący, ale mi jeszcze krewkości starczy i nieszczęsna tego mać... Trupem — mówię — padnę sam, ziemię leśną gryźć we skonaniu będę, albo jak psów powystrzelam!...

— I ja tak samo rozumuję, kumie, bo to i wedle Boskiego przykazania, że skoro nie twoje, to nie leź, złodzieju, bo uśmiercę. Ino jabym rozważnie, a ostrożnie to robił, jako, że swoja skóra najwięcej warta. Kiedy cudzą przewiercisz na ten przykład kulą, to po prawdzie dziury w niebie nie będzie, kiedy swoją — ano też bez to niebiosa takie same pozostaną, ale zawdy we świecie zwyczaj taki, że kuždemu siebie najwięcej szkoda... A one bestje, to niby Janek i Witek, mocną pukawkę mają — zniżył głos — gdzieś na polach znaleźli i we wsi dzisiaj głośno gadali, że Dembielińskiego się nie boją...

— Zobaczymy.

— Trzeba się mieć na wielkiej ostrożności, kumie, Karp to wam radzi, — posłuchać można.

Domawiając ostatnich słów, podniósł się ociężale z ławy i zwrócił do osobnika, siedzącego przy kominku, (Dembielińskim nazwanego), który był gospodarzem domu i leśnym tutejszym od niepamiętnych czasów.

— Czas wracać — rzekł — do wsi spory kawał drogi lasem, a noc i zawieja na dworze, niech Bóg broni.

Obejrzał się w stronę pieca, gdzie kobieta, nucąc sennym głosem kołysankę, układała dziecko do snu. Pochylił się do Dembielińskiego.

— I to kumie pomnijcie, że wielce niespokojne teraz czasy idą. Słyszałem, że w tych lasach kupa onych wisielców się kryje. A w miasteczku Moskali nieprzejrzana ćma, sam widziałem. — Groził jakiś ich najstarszy, że wieszać będzie tych, którzy powstańca posiłkiem, abo nawet wskazaniem drogi wspomogą, zamiast coby ła-

dziej spokrewnionych krzyków, których „jak pestek" widziało się obficie!

Rankami, jak komary, szybowały bystrolotne bekasy a powietrze „aż dźwięczało" od „beczenia" sterówek tych tak sympatycznych myśliwskiemu sercu ptaszków! Niechże Św. Hubert ma was w swej świętej opiece! —

IV.

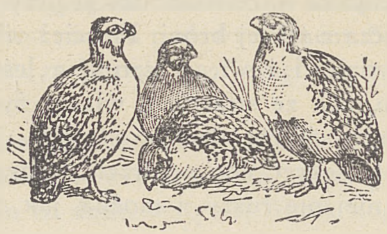
Niestety po relacjach radosnych — muszę przejść do bardzo smutnych! — gdyż ród kaczy sprawił mi głębokie rozczarowanie. Już w roku zeszłym, było ich bardzo mało — bieżącą zaś wiosną, stan ich okazał się iście katastrofalnym! Przynajmniej na tych, zwykle wybornych łowiskach, na których zazwyczaj poluję. Naprzykład, jadąc taką idealną dla warunków ich pobytu — typową, poleską rzeką „Lwą" zwaną, która płynie wśród błot obszernych, zarosłych olszniakami, łoziną, rokitnikami — wymarzone okoliczności dla kaczych ostoi stwarzając — pomimo to, tam, gdzie zeszłego nawet roku strzelić mogłem do 15—20 kaczorów, teraz podejmowałem 2—3 pary!... Horrendum!... Na zwykłych, małych błotkach, brodkach, jeziorkach — wieczorami też na ciągach i podsłuchach — kaczki świeciły prawie, że swą nieobecnością! To też rzadko wpadało w ucho to urocze, lubieżne „kwaknięcie" sprośnego kaczora, które dla myśliwego słodsze jest od dźwięków Mozarta lub Verdi'ego!... — „Trzeszczenia" cyranek i cyraneczek jeszcze częściej się rozlegały — lecz „krzyżowych" niemal że „vacat"... — Bardzo, bardzo smutny objaw!... A wody tak mało w tym roku na Polesiu! Ileż to „jajecznic" nazbieranych będzie przez poczciwych pastuszków z ich wiernemi kundelkami!? Aż strasznie pomyśleć. Co za marne horoskopy na sezon letni. Ale kto wie? Bardzo być może, że właśnie z tego powodu kaczki będą zmuszone wybierać dla swych miejsc lęgowych najniedostępniejsze, najlepiej dla oka ludzkiego ukryte zakątki, salwując swe potomstwa — podczas, gdy w czasie wielkich rozlewów „volens — nolens" zmuszone są lokować się w suchszych, a więc dostępniejszych dla „człowieka złego" brzegach i krajnikach bagnisk!...

V.

Pozostaje mi złożyć moją podziękę Gospodarzom błogosławionych terenów, Szambelanowstwu Szyczewskim, Prezydentostwu Bohusz-Szyszkom, za tak szczodrze otwarty przez Nich, dla mnie, Sezam rozkoszy łowieckich, za możliwość wypoczynku radosnego, za nabranie sił nowych, wśród Ich pięknych rewirów dla dalszej, twardej walki życiowej!...

Kto, rzekłbyś starożytny Anteusz, rękę do Świętej Matki Ziemi przyłoży — do Jej łona się przytuli! — w tego jestestwo całe hart nowy Ducha i Ciała wstępują — ten „odradza się" jakby życiowo!...

Za owo „odrodzenie się" — za „delektowanie się" temi pierwiastkami ukojenia i elegicznego spokoju, Im, Czcigodnym Amfitrjonom, serdeczną wdzięczność składam oraz, jak zawsze, Św. Hubertowi cześć po wieki wieków należną!



pać, wiązać i do miasteczka odwozić. Co będzie, niech Bóg i Matka Przenajświętsza broni! Mroczy się w głowie i trwoga wielka do piersi się zakrada!... Rzekłem, że Janek Bitny i Witek Kotarbiński dziś w nocy zapolują, ale wam kumie iść na nich tak, jak i nie radzę. — Niech se złodzieje zapolują.

— Nigdy! niedoczekanie ich...

— Rzekłem: Jak chcecie kumie... Ostańcie zdrowi!

— Z Bogiem.

Po odejściu Karpa, Dembieliński w głęboką wpadł zadumę. Patrzył na szyby fantastycznie ukwiecone mrozem i skrzące się od ognia, wesoło trzaskającego na kominku — i myślał. Zapuszczał wzrok przez okno w nieprzejrzaną ciemnię lasu, jakby przemożną siłą wyobraźni wedrzeć się chciał w nieodgadnione tajniki jego, zdławić tajemnicę cieni, poszarpać ciężkie, potworne ciemności i głębie bezkresne dzikich ostępów odkrywszy, śmiać się serdecznie i długo z głębokiej bezsensownej trwogi... Rozmyślał trwożnie o drodze dalekiej, nużącej, zgłębianiu olbrzymich zasp śniegu, o walce z kłusownikami, którą miał stoczyć w głuchych ostępach, o krwi, wsiąkającej w śnieg, stygnącej i zasypywanej nowemi zwałami śniegu... Słyszał, jak wiatr przeraźliwie za ścianą wył, miotając z wściekłością tumany lotnego śniegu, zrywając całe zaspy i uderzając w chałupę, zabudowanie, płot, trzeszczący przeraźliwie i dalej w las. Słyszał, jak wiatr, cichnąc niekiedy za ścianami, po lesie szedł, hucząc w konarach, jak grom. Ocknął się nagle z zadumy, odnosząc wrażenie jakoby tuż za oknem na czarnem tle przesunął się cień ludzki. Z kocią drapieżnością skradł się bliżej drzwi i skryty za kominkiem znieruchomiał w oczekiwaniu. Rękę położył na pistolecie... Oczy zapłonęły...

W sieni rozległy się kroki.

Skrzypnęły drzwi. Na progu izby stanęła, wahając się zaśnieżona od stóp do głów postać. Zlekka zachwiała się i z głuchem westchnieniem oparła o ścianę...

— Pochwalony Jezus Chrystus...

— Na wieki wieków... — odrzekł gospodarz badawczo, z pod krzaczastych brwi obserwując przybyłego; ten postąpił chwiejnie krok naprzód i wtedy na twarz nędzarza śmiertelnie bladą, owiniętą przez prawy poli-

JAROSŁAW HUBÁLEK

BUREK

Autoryzowany przekład z czeskiego WŁ. KARNKOWSKIEGO

(Dokończenie)

Rozstawiono tedy nagonkę od wsi, strzelców na skrzydło, matadorów na linji — poczem rozległ się sygnał. Zajęcy wprawdzie nie spodziewał się leśniczy w miocie, gdzie pasą się setki kóz i owiec, i gdzie pełno pastuszego gwaru i pokrzyków. Ale... dla porządku... Na usilne nalegania nadleśniczego zjechał na polowanie sam pan nadradca N. Pulchniutki, jego ciało, opięte szczelnie zielonym lodenem, opasywała cała sieć różnych pasów i pasków. Więc na wydatnym brzuszku pas z nabojami, na szyi — Bóg wie na co — ogromna lorneta, z tyłu potężnie wypchany plecak, na lewem ramieniu sygnałówka, wypolerowana, jak lustro, a błyszcząca, jak słońce, na drugiem ramieniu litrowa termoska. W takim, iście myśliwskim rynsztunku zasiadł na praktycznym (dla niego tylko) trójnogu i położył na kolanach dubeltówkę, robioną na specjalne zamówienie, specjalnie dalekonośną, z maksymalną penetracją i gęstością pokrycia, kalibru... 28. Ekwipunek i uzbrojenie bajeczne, zgoła nie licowały z rzadką miną pana nadradcy. Nadleśniczy bowiem przez całą drogę zabawiał go opowiadaniem strasznych historyj o niedźwiedziach i wilkach, ręcząc za możliwość ubicia przynajmniej pięciu — zwłaszcza z takiej broni. Przecież włóczą się stadami po trzydzieści i więcej sztuk, a leśni nie strzelają nawet do nich ze strachu o własne życie. Zabijesz jednego, a reszta cię rozedrze na strzępy... Na stanowisku zaś — cały sekret, aby odstrzelić naprzód wilczycę. Wilk się od niej nie ruszy, i można, jak nic, mieć dubleta do wilków, a legendarną sławę między myśliwymi w stolicy...

— Pan nadradca jednak dziwnie jakoś nie czuł w sobie żądzy tej sławy. I wogóle — po co się dał namówić na te hazardy? Nie lepiej to było siedzieć sobie w ciepłym kątku kawiarni i z przyjaciółmi snuć myśliwskie gawędy. Wprawdzie nadleśniczy jakoś tajemniczo się uśmiechał — ale niemniej mógł to nie być żart... W ten splot refleksji pana nadradcy wmieszała się nagle ostra wrzawa naganki i okrzyki: „Wilk! wilk!“ przeszyły, jak grot, całe jestestwo stołecznego nemroda. Reszta myśliwych gości śmiała się w duchu serdecznie, sądzono bowiem, znając nadleśniczego, że gwoli krotochwili, umyślnie namówił nagankę do tej mistyfikacji, przeznaczonej dla nadradcy.

Tymczasem nie był to wcale żart. Burek, jak zwykle zażywał miłego cienia w łozach nadrzecznych, pożerał oczyma kózki i koźlęta, a w rozgwarze naganki nie widział zrazu nic innego, jak znane sobie, pokrzyki pastuchów. Zorjentował się dość późno. Ostrym kłusem wybiegł z legowiska, mierząc przez szosę do lasu, lecz szosa była obstawiona strzelcami. Wykonał zatem ćwierć obrotu i począł rwać na czoło miotu. Szczęściem dla niego, myśliwi nie byli kryci, a całe pastwisko o tyle rzadkie, że mógł na sto kroków widzieć niebezpieczeństwo. Znów uskoczył w bok i znów błysła przed nim lufa. Więc przebiegł przed całą niemal linją, szukając luki i wszędzie widział gorączkowe przekładanie naboi. Wilk — póki może — omija człowieka, jak zarazę; lecz przyparty do ściany — nie namyśla się długo, i wali prosto przed siebie. Na szczęście — natknął się na pana nadradcę. Biedaczysko — spostrzegłszy wilka — nie miał siły podnieść się z trójnoga. Coś go chwyciło za łydki tak kurczowo, że — ani rusz... Wytrzeszczonemi

---

czek brudnym krwawym łachmanem, padły migotliwe blaski z kominka. Przez plecy miał przewieszoną strzelbę... Dembieliński cofnął się jak przed widmem...

— Powstaniec — rzekł głucho.

— Powstaniec — powtórzył jak echo przybyły.

Stali chwilę naprzeciw siebie, mierząc się nawzajem nieufnemi spojrzeniami i usiłując wniknąć w tajnie myśli krążących szybko, niepewnie a grupujących się koło przypuszczeń.

— Czego chcecie!? — zwrócił się nagle ostro do przybyłego Dembieliński.

— Chleba gospodarzu — rzekł — dajcie; kupię, zapłacę... — bełkotał pośpiesznie.

— Nie mam chleba, idźcie se, panie, dalej!

— Zapłacę, gospodarzu, nie bójcie się, dobrze zapłacę.

— Schowaj se, panie powstaniec, pieniądze i idź z Bogiem a po dobroci w swoją stronę i nie ściągaj na ludzi niewinnych nieszczęścia!

— Gospodarzu, tam z głodu i zimna kona w lesie garść towarzyszy, zlitujcie się, gospodarzu — drżącym głosem skomlał powstaniec.

Głos Dembielińskiego stawał się coraz więcej syczący, złowrogi...

— Ruszaj skądeś przyszedł, szalony... bo...

— Właśnie, że jednego kroku stąd nie ruszę! — krzyknął desperacko z wypiekami na twarzy i płomieniem w oczach przybyły.

Nagle kobieta uderzyła w lament, dziecko obudzone zaczęło krzyczeć... Dembieliński blady, jak trup, skoczył do powstańca i błysnął przed oczyma jego pistoletem, sycząc przez zęby:

— Wynoś się, słyszałeś? bo, jak psa, zastrzelę...

Powstaniec z przerażeniem w szeroko otwartych oczach, zasłaniając twarz rękoma, cofał się tyłem do drzwi, jak przed widmem śmierci. Potem odwrócił się zwolna, nie przestając oglądać się poza siebie, i chwiejnie, ledwie trzymając się na nogach, jakby pod stu pudowym ciężarem, wyszedł. Skrzypienie drzwi w sieni zagłuszyło przeraźliwe wycie wiatru...

Dembieliński pozostał na środku izby wzburzony,

oczyma wiódł za wilkiem, z wrażenia, czy podziwu podniósł w górę termosa, z którego smakowicie pociągał przed chwilą, w drugiej ręce „dalekonośną, specjalną" dubeltówkę — jeszcze nie nabitą — i tak trwał w łowieckiej grozie, czy może zachwycie — a Burek tymczasem paroma mocnemi skokami przesadził linję — i znikł w kniei — bez strzału. Koniec miotu. Nadleśniczy poprostu wściekał się — nikomu nie radziłbym wtedy dostać mu się pod rękę — a zwłaszcza na język. Bo też puścić taką sztukę — i to tego właśnie kuternogę w obroży!... Nadradca oczywiście był w porządku — w myśl udzielonych wskazówek umyślnie puścił „samca" w oczekiwaniu na „samicę"...

XV.

I znów nastała jesień — z krótkiemi, co raz krótszemi dniami — i cicho spadającym liściem. I jeszcze — po raz, nie wiem już który, wybrnął Burek szczęśliwie z opałów. Natknął się bowiem na porębie — na gajowego — Srokę. I co za pech z jednej, a szczęście — z drugiej strony, że gajowy, stale biorący w obchód stary karabin wojskowy — dziś właśnie miał z sobą marną dubeltówczynę! Wilk na sto dwadzieścia kroków — co robić? Kuli niema, na loftki za daleko. Wprawdzie świsnęło coś tam koło uszu Burkowi — ale nawet nie zbyt pospiesznie rejterował w knieję.

Nadszedł słotny listopad. Nie wiadomo z jakiego powodu — doznawał Burek stale dziwnego podrażnienia nerwowego, podniecenia i nieokreślonej tęsknoty. Ze zdwojoną bacznością obwąchiwał każde drzewo sygnałowe, zostawiając na niem własną wizytówkę. Włóczył się teraz, Bóg wie, jak daleko, aż razu pewnego wpadł na ślad pobratymczy. Było to liczniejsze towarzystwo — parę wilków i wilczyca. A szedł od jej tropów tak miły, tak wabny, tak kuszący aromat, że Burek bez namysłu puścił się na odszukanie krasawicy.

Jakoś pod wieczór dopędził rozbawioną kompanję. Flirt szedł w najlepsze. Ona — tocząc się na miejscu — przekornie kłapała lśniącemi zębami w stronę wielbicieli, którzy ze wszech stron, choć najmniej od przodu, zalotnie atakowali bogdankę. Jeden tylko stary wilk, oddzielił się od grupy, zmierzył nieufnem okiem Burka i zjeżył sierść błyskając kłami. — Burek zaś zrozumiał, że mu dają okazję, lecz ufny w swą siłę, zachował zupełny spokój, i jakby nie widział zaczepki. Ledwie jednak krok zrobił ku celowi swych marzeń, gdy stary rzucił się na niego. Więc stanął odważnie do boju, lubo jednak walczył mężnie — poczuł wkrótce, że z nielada przeciwnikiem ma do czynienia, i że jedynie twarda obróża uchroniła go od zębów wytrawnego zapaśnika. Musiał ustąpić z placu boju i to dość pośpiesznie, choć nieco kulejąc. — Szczęściem — po dwóch tygodniach — myśli zalotne — same wywietrzały mu z głowy, i powrócił do swego rewiru. Na głód nie mógł się skarżyć, bo choć trawy już nigdzie nie było, góralskie kozy przepadają za młodemi wyrostkami krzewów — licznie też wypasały się po górach. A góralska koza — to prawdziwy mistrz w ogryzaniu. Gdzie nie sięgnie, tam się wespnie, a mało tego — i wskoczyć potrafi. Wiecznie kaleczone siekierkami pastuszków — drzewa — tworzą tu liczne rosochy różnych wymiarów i kształtów. Toteż — widzieć kozę stojącą na drzewie — nieraz na metr nad ziemią — nie jest niczem nadzwyczajnem. Niejedna atoli nie miała czasu zeskoczyć — i ginęła w gąszczach, jak kamień w wodzie.

Stale powtarzające się, prawie codzienne zbrodnie Burka — zaniepokoiły wreszcie całą okolicę. Ze swego obserwatorjum co dzień widywał Burek kogoś ze straży

---

zły, ponury, jak noc... Dziecko nie przestało krzyczeć.

— Jagna! — krzyknął po dłuższej chwili...

Nikt nie odpowiedział. Rozejrzał się po izbie: kobiety nie było... Wybiegł. Potężny, ostry wiatr ze śniegiem uderzył w twarz, wichrząc czuprynę. Nagła ciemność nocy oślepiła go początkowo. Dopiero, gdy się rozejrzał, zauważył żonę, oglądającą się w las. Szła od stodoły, gdzie ukryte były wszystkie zapasy...

— Gdzie on, ten szaleniec!?

— W las poszedł.

— Dałaś mu chleba?

— Tak, ile mógł unieść... — brzmiała spokojna odpowiedź.

Z zaciśniętemi zębami i wściekłością w twarzy stał, ledwie się hamując...

Nagle zawrócił do domu. Wzburzenie mijało. Spokojnie zwrócił się do żony:

— Przygotuj, Jagna, chleba ze serem, może nocować gdzieś w lesie trzeba będzie, jak psu bezdomnemu, jeśli pierwej djabli nie porwą...

— Gdzie zaś się wybierasz?

— Na dwóch gagatków zapolować...

Mimo usilnej prośby żony, by przez tę noc pozostał w domu, mimo błagalnych jej oświadczeń, że ma jakieś niedobre przeczucia, włożył, milcząc, kożuch, pistolet za pas wsadził i ruszył.

Przedarł się ku polom. Szedł brzegiem lasu, nie myśląc o kierunku. Nie zważał ani na śnieżycę szalejącą naokoło, ani na wiatr, co porywając tumany śniegu chłostał go po twarzy, rozwiewał poły kożucha, wzbijał się w zawrotnem wirowaniu w górę, ku wierzchołkom drzew rozkołysanych i szedł przez konary z jękiem nieustannym, jak odległym chórem potępieńczych głosów... Jęczał las gdzieś przed nim, za nim, daleko i tuż nad głową. Czasami ustawał wiatr nagle, czaił się, niby sił nabierał, aby za chwilę z drugiej strony tem potężniej uderzać, szarpać zwały opadłego już śniegu, wzbijać ku górze, w pędzie szalonym uderzać o ściany lasu i umrzeć w jego objęciach...

(C. d. n.)

leśnej, czającego się w pobliżu stad, ostrożnie zatem obchodził kołem i urywał z przeciwnej strony, co się dało. Ile przekleństw rzucali na jego głowę i gajowi i pastuszkowie, to chyba samo piekło mogłoby powiedzieć i spamiętać. Widywano go częstokroć tak blisko, że wyraźną stawała się obroża na jego karku i lekkie kulenie na przednią nogę. Toteż wszystkie grzechy wilcze w rewirze szły na rachunek jego jednego.

Swoją drogą grasował okrutnie. Bezczelność jego, połączona z bajeczną ostrożnością — przechodziła wszelkie granice. Świetnie znał swoich ludzi, pasterzy i gajowych. Bezbronnemu stawał i na dwadzieścia kroków. Raz napędził starej babie śmiertelnego strachu w samo południe na środku leśnej drogi — wachmistrzowi z posterunku miejscowego stał — niby tarcza — przez całą minutę na czterysta kroków — pomimo dwóch strzałów, proboszczowi porwał psa (ku wielkiej radości straży leśnej), gajowemu, siedzącemu przy księżycu na wydry — pokazał się na dziesięć kroków (oczywiście od tyłu), na pana sekretarza wyszedł na nagance od tyłu, a wójta z Pasieki odprowadzał nocą kawałek drogi po szosie, gdy wracał z sądu do domu. Głośnym stał się w całej okolicy aż tak, że madiarskie czasopismo w Użchorodzie poświęciło mu całych dwadzieścia wierszy. Widział go prawie każdy — i bezbronny i uzbrojony — strzelano doń kilka razy — i nic. Wilk był nieśmiertelny — zaczarowany. Istotnie tak było. Leśny doskonały strzelec, miał go na pięćdziesiąt kroków — i „Schönauerka“ — widocznie dzięki omarznięciu szronu na zamkach — odmówiła strzału — pierwszy raz od dziesięciu lat. Gajowemu, Bóg wie — dlaczego — kula nie wyszła z lufy. Chybionych strzałów było bez liku. Poprostu strzelcom nerwy odmawiały posłuszeństwa przy mierzeniu do Burka.

Szczęśliwie dla bohatera minęła jesień. Spiskowcy pokładali jeszcze niejaką nadzieję w zimie i ponowie, choć nie łudzili się, by zwierz, obdarzony tak wyjątkową, nadwilczą inteligencją, nie wiedział, czem jest trop na śniegu. I rzeczywiście — po pierwszym śniegu — Burek znikł, jak kamfora.

XVI.

A znikł — poczuwszy w swem wilczem sercu powrotną falą uczuć miłosnych. Tym razem jakoś szczęście mu sprzyjało, wpadł bowiem na ślad donny, chodzącej dotąd samotnie. Była nad miarę urodziwa, czteroletnia, choć dziwnie obojętna i flegmatyczna. Walory Burka nie zdołały roztkliwić jej serca — przeciwnie — błyskami białych kłów odpowiadała na każdą próbę mniej platonicznych zabiegów. Burek jednak był rycerskim — więc nietylko nie płacił zębem za ząb, lecz nie ustając w zalotach, znosił dotkliwie razy i czekał cierpliwie.

Zdaje się, że wilczyca — równie, jak Burek, zabłądziła do obcego rewiru, bo po kilku dniach puściła się przez szczyty i doliny, w kierunku rodzinnego zakątka. I tak wiodła za sobą wiernego amanta, aż oboje ocknęli się w nowej zupełnie okolicy, spiętrzonej nie pagórkami, lecz wysokiemi górami, porosłemi już nie bukiem, lecz jodłą, a miejscami górskim jaworem, wiązem i jesionem.

Pewnego wieczoru, gdy Burek pod wpływem jakiejś nieprzepartej tęsknicy — zawył przeciągle, aż złowrogie echo rozniosło się po wierchach, nadeszła z dali odpowiedź i wkrótce trójkątna głowa przybysza wynurzyła się z gęstwiny. Na ten widok Burek momentalnie stanął w pozycji bojowej, walecznie szczerząc kły. Rywal zaś obojętny na wyzwanie — w lansadach sunął ku wilczycy, ucieszonej powiększeniem się kompanji. Burek rzucił ostatnie ostrzeżenie wymownem zjeżeniem sierści, lecz intruz podjął śmiało rękawicę, zwłaszcza, że bacznego jego oka nie uszła lekka kulawizna Burka. Był to piękny okaz górskiego wilka pięcioletniego, rozrosłego, o pięknej — ciemnej maści z pręgą grzbietową prawie czarną. Zbyt pospiesznie zlekceważył Burka. Ten bowiem — prócz tego, że był obdarzony niezwykłą inteligencją — nosił dotąd skryty w gęstych kudłach, mocny pancerz — obrożę z grubej skóry, stwardniałą na kość od deszczów i mrozów, nabitą w dodatku mosiężnymi gwoździami.

Chciał widocznie przybysz wstępnym bojem zdobyć względy bogdanki, ujmując ją swą walecznością, pierwszy bowiem rzucił się na Burka topiąc mu swe olbrzymie kły w karku. Lecz niewidzialna obroża — od razu przeważyła szalę zwycięstwa. Jednym mocnym wstrząsem —zrzucił Burek z karku przeciwnika i przeszedł do ataku. Napróżno ów szukał, jak mu się dobrać do czułego gardła — póki nie wyszczerbił kła na kółku obroży, wreszcie ustąpił z placu, brocząc z kilku głębokich ran. — A opodal siedziała ona, rozkoszując się widokiem walki i oczekiwała niecierpliwie końca, by szczęśliwemu udzielić palmę zwycięstwa. Tryumf Burka był dla niej niespodzianką, zaczęła nań patrzeć — okiem podziwu i posłusznego poddania się sile. Zwyciężonego — nie ścigał tryumfator — pewny, że tenże nie wróci. Więc oblizując starannie kilka drobnych ran szarpanych w kubraku, zerkał z pod oka na wilczycę, która — upojona snać jego zwycięstwem — sama przeszła do zalotnej ofenzywy. Utonęli oboje w miłosnym zachwycie. Polowali stale razem, a gdy spadł wysoki śnieg, przybrali jeszcze do spółki kilka wilków. W rewirze zatrzymały się jeszcze tak długo, póki górskie zawieje nie spędziły wszelkiej zwierzyny w doliny — wówczas pociągnęły za nią.

XVII.

W ten sposób znalazł się Burek znów we własnym rewirze — i to w towarzystwie trzech kolegów. Lecz szczęście przestało po dawnemu im sprzyjać. W pierwszym zaraz tygodniu zarznęli kapitalnego jelenia i zabrali się do uczty. Burek pożarł coś około dziesięciu kilo i był do syta najedzony, ale, że po długim pościgu za jeleniem mocno bolała go postrzelona noga, więc zapomniał jakoś o zwykłej ostrożności i na odpoczynek wybrał niedaleką gęstwinę, położoną nie dalej, jak pół godziny drogi od zwłok jelenia. Przeszli ścieżkę straż-

niczą, wiodącą do świeżo rozpoczętego porębu. To wystarczyło. W ciągu dwóch godzin leśny znalazł świeże tropy, zmobilizował drwali z porębu, dobrał jeszcze gajowego i obstawił miot. Smutnym był epilog tych zabiegów. Burek a z nim małżonka uniknęli nieszczęścia wyłamaniem się tyłami przez nagankę, lecz inne dwa wilki poszły, jak zawsze z gonem. Jednego przygwoździła kula leśnego do ziemi, drugi wprawdzie uszedł, ale z pośladkiem fatalnie poszarpanym loftkami gajowego. Nazajutrz, śmiertelnie wyczerpanego odnalazł gajowy i skrócił jego męczarnie. Że jednak nieszczęście nigdy nie chodzi w pojedynkę, więc spotkało pozostałą parę coś w tydzień potem. — Na leśnej łące południowego zbocza jest bagno, zwane „Słonem błotem". Skąd nazwa pochodzi — niewiadomo — dość, że jelenie i sarny chętnie bagno odwiedzają dla ugaszenia pragnienia, a w letnie upały i dla zażycia miłej kąpieli. Obecnie bagno wygląda, jak zielona plama na tle śniegowem. W pośrodku sterczy na pół zgniły kołek, około niego moczar wodą zatopiony, lamowany po brzegach zieloną trawą — a przy kołku leży mocno już pachnący zając. Burkowi nie bardzo się to wszystko podobało — a głównie ten zając. Nie! Na takie smakołyki już się nie da nabrać — za dużo ich widział w życiu! Lecz towarzyszka jego, jakoże w jej stanie miewa się różne „smaki" — nie mogła oprzeć się pokusie i śmiało podeszła do zająca — tembardziej, że ani żelaza, ani stóp ludzkich czuć nie było. Toteż kilka kęsków przeszło już przez jej gardło — gdy poczuła na języku słaby posmak goryczki. — Przerwała ucztę — lecz już po niewczasie. W ciągu pięciu minut stan był beznadziejny. Tarzała się w strasznych boleściach, gryzła śnieg i wyła żałośnie. Burek oczyma pełnemi przerażenia i niemego współczucia patrzył na jej męki i jeżył sierść, jakby jemu samemu zagrażało niebezpieczeństwo. Wilczyca zaś usiłowała rzucić całą zawartość żołądka, potem gwałtownie żarła śnieg z trawą i znów oddawała. Widocznie strychnina — zwietrzała długiem leżeniem — nie działała zabójczo. Wreszcie — chwiejąc się na nogach — na pół sparaliżowana uszła wilczyca w las w towarzystwie wiernego Burka, bogatszego o jedno więcej doświadczenie.

Wysoko na zboczu „Wiatrowej Góry" stało jedno z kilku drzew sygnałowych. Nasz Burek — ilekroć znalazł się w tym rewirze — nigdy nie ominął okazji — by nie przeczytać, względnie nie wywąchać wszystkich okolicznych nowin — i nie zostawić własnej karty wizytowej. Również i dziś — po cudownem ocaleniu towarzyski — pokropił pień drzewa, poczem silnie drapnął zadniemi pazurami i poszedł spokojnie dalej. Wtem poczuł, że piersiami uderzył o jakąś przeszkodę i w tej chwili usłyszał znany mu głos uderzenia metalu o metal. Mocnem szarpnięciem przerwał cieniutki drucik przeciągnięty przez ścieżkę i prowadzący do samostrzału. Tuż obok, mocno drutem do drzewa przywiązana stara kapiszónówka — była tak wymierzona na ścieżkę, że cały nabój musiałby wejść w bok Burka w chwili dotknięcia drutu. I znów cudowne ocalenie dzięki zawilgłemu kapiszonowi i znów nowa nauka: ani do sygnałowego drzewa nie podchodź z wiatrem. — Małżonce nic o tym wypadku nie powiedział, ale więcej się w tych stronach nie pokazał.

XVIII.

Miało się ku wiośnie, bo i słonki zaczynały ciągnąć. Nasza parka wiernie trzymała się tegosamego rewiru, wilczycy bowiem, spodziewającej się lada dzień macierzyństwa — nie chciało się odbywać długich podróży. Upatrzyła już sobie barłóg — nie tyle może wygodny — ile bezpieczny. Halny wicher zawadził kiedyś o grupę buków i pokładł je jeden na drugim tak, że stanowiły sklepienie — powiązane szczelnie dziką maliną i chmielem — wewnątrz zaś wysłane obficie zeszłorocznym liściem. W ostatnich dniach była wilczyca w tak zgryźliwym humorze, tak kapryśna i opryskliwa dla Burka, że ten — pomimo, iż miał najlepsze chęci dzielić z nią szczęście rodzinne — wolał w końcu opuścić sekutnicę i tylko co pewien czas przybliżał się chyłkiem do barłogu i nosem sprawdzał, jak tam rzeczy stoją. Aż któregoś dnia powiła wilczyca gromadkę — aż pięć wilcząt. Na pewno straż leśna nie dzieliłaby radości matki — dumnej i tak kochającej, że nawet wyszczerzyła groźnie zęby na męża, gdy wsadził nos do barłogu. Niema rady — trzeba ją udobruchać czem smacznem. I oto nazajutrz leżał przed barłogiem sołtysów ryży Łysek, a że podarek przyjęty był wdzięcznie, więc znosił Burek ochotnie to kózkę, to zwłóczonego kota — kłusownika, to pieczonkę cielęcą, a w niedzielę uraczył małżonkę gąską z dwoma żółciutkiemi gąsiętami.

Wilczęta zaś rosły w oczach, matka brała je już z sobą na krótkie wyprawy łowieckie. Pierwszym szedł zwykle czujny i doświadczony ojciec, za nim gęsiego mała piątka, pochód zaś zamykała matka. Szczęściem, ożyły z wiosną pastwiska — inaczej niemożliwemby było wyżywić wiecznie głodną rodzinę. Nie brak więc ni młodych, a głupich koźląt, ni jagniąt, a choć roi się od pastuszków — mało jednak przysparzają wilkowi frasunku, zapominając przy wesołem ognisku i cuchnącym papierosie o pilnowaniu stada. Jakiś czas było spokojnie i szczęśliwie — aż niespodziewanie wybiła godzina strasznej klęski. Pewnego dnia rodzina wilcza pomiarkowała, że jest zamknięta w niewielkim miocie. Matka z małemi pierwsza usiłowała wyjść z obieży — lecz maleństwa utrudniały ucieczkę, co raz bowiem któreś pozostawało w tyle, to więznąc w splotach malin — to nie mogąc przeskoczyć leżącej na drodze kłody. Pierwsza — padła na linji matka — za nią — jak podcięte kłosy — padały lub szły w ręce ludzkie jedno po drugiem wylękłe wilczęta. Jedno jedyne ocalało — tuląc się pod powolnym pniem, póki go wściekły Wjas nie wytropił i nie rozdarł. Burek znów wyszedł cało, tym razem chybiony przez samego leśniczego — zaś gajowi, nałykawszy się dotąd tylu gorzkich wymówek o niego — pocichu zacierali ręce z radości. A Burek co wie-

czór wył z żalu i tęsknoty, co wieczór wiatr niósł echo wilczego bólu aż na próg leśniczówki. Daremny twój żal — Burku — próżne wołanie! Nie wróci twe ukochanie — o jego losie powie ci twój czuły nos, jeno zbadaj pobojowisko! Co nie padło, ponieśli źli ludzie tam, gdzie i ty dzieciństwo swe spędziłeś — więc zamknij w sobie twój ból i pomstę nad okrutnym Wjasem.

Tak się też stało.

Burek wiedział dobrze, choć było to tajemnicą w leśniczówce, że Wjas chodzi na rendez-vous z gajowego Cytrynką — i że o pierwszym zmierzchu spieszy przez las do lubej. Przyszło do spotkania — dramat rozegrał się w parę minut. Rano drwale znaleźli Wjasa na sztuki rozdartego w kałuży krwi...

* * *

Wilka tego dotąd mamy w rewirze. Jest poprostu nieśmiertelny. Żelaza ominie na sto kroków, na przynętę nie zwraca uwagi, z miotu zniknie, jak kamfora, a zawsze tą stroną, gdzie najsłabsza obsada. Widują go niekiedy — lecz nigdy na strzał.

Dla psów zobojętniał — widać Wjas był jego ostatnim wrogiem — reszta — to plebs — niegodny jego fatygi. Rusini płacą mu daninę w lecie — my w zimie. Zginie chyba dopiero ze starości. Z jego pobratymców — ledwie który zagrzeje miejsce w rewirze — już skórę na desce suszy — z tym tylko mistrzem nad mistrze nie możemy się uporać. Uczyć się nam wszystkim od niego!

Ludzi — zwłaszcza dzieci nigdy nie skrzywdzi. Widziano go raz, jak obwąchiwał dziecię, śpiące pod wierzbą. Matka, zajęta opodal kopaniem ziemniaków, zemdlała ze strachu, a dziecię wyciągało doń ufnie rączyny, jak do psa. Uderzony kamieniem przez małego pastuszka — wyszczerzył zęby, zdarł mu gunię i spokojnie odszedł. Gdy leśni i gajowi meldują mi swe niepowodzenia i pechy z Burkiem — w duchu rad jestem i życzę mu sędziwego wieku.



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Las w Storaasen. Sprytny łoś. Uśmiech szczęścia. Podchód pełen wrażeń. Wilki.

Pewnego pięknego jesiennego dnia, żona moja postanowiła mi towarzyszyć, a że Andreas wybierał się właśnie, by pokrajać mięso ostatniego mego byka — udaliśmy się więc wszyscy w stronę Gauptjern.

Gdyśmy się już przeprawiali przez rzekę Gauptjern, Andreas, który doskonale znał tę okolicę, zaproponował udać się do tak zwanych „małych pagórków", porosłych gęsto brzozami, tuż obok nagiego znów płaskowzgórza, które łosie obrały sobie za główne siedlisko.

Przez wiele lat Andreas towarzyszył Niemcom w wyprawach myśliwskich i wiele ciekawych faktów o nich mi opowiadał; pokazuje się, że nie zawsze samym się oni tylko sportem zajmowali — podobnie zresztą, jak i my! — Szczególnie jeden z takich niemieckich myśliwych zasługuje na wzmiankę: odwiedzał on od czasu do czasu las Storaasen, gdzie, prócz łowów, oddawał się także innym przyjemnościom, a mianowicie (korzystając z ukrycia) nie gardził tam darami Bacchusa.

Jednak na nieszczęście często mu towarzyszyła stara „Frau", która śledziła go pilnie swemi kociemi, podejźliwemi ślepiami. W rozpaczy wtedy przyszła mu genjalna myśl do głowy: wysłał Andreasa daleko w las, nibyto „dla wyszukania tropów łosi", a w rzeczywistości polecił mu zabrać z sobą pewną ilość butelek „wisky" i ukryć je tam w bezpiecznem miejscu, aby w przyszłości nie tylko on sam, ale i inny myśliwy, mógł się swobodnie uraczyć! Z tego jednak wnioskować można, że przy takich okolicznościach, nie wiele pada łosi.

Gdyśmy doszli do pagórków, psy zwietrzyły łosia, a przedtem już, od dłuższego czasu zauważyliśmy jego tropy i skropienia; — prócz tego, nieco dalej natrafiliśmy na okropnie cuchnące miejsce, które teraz świeżo było skopane przez łosia. Tropy zawiodły nas zrazu do płaszczyzny, potem na wschód po pochyłości górskiej, aż wreszcie zawróciły znowu do gęstego lasu; spotkaliśmy jeszcze kilka takich miejsc, i mieliśmy wrażenie, że łoś lub też łosie, są już bardzo od nas blisko; od tej więc chwili szedłem przed psami.

Postępowaliśmy tak pewien czas po bardzo ciężkim terenie — trudnym do przebycia — pełnym suchych, grubych gałęzi, łodyg i rozmaitych porostów, uniemożliwiających zupełnie zachowanie ciszy. Wtem, przez chwilę, wydało mi się, że słyszę głuche chrząknięcie byka, ale las był tak strasznie zaszyty, że o kilkanaście kroków nic przed sobą widzieć nie mogłem. Wkońcu Lorents, który się raptem natknął na mnie, zrobił mi znak, abym uważnie patrzył dobrze przed siebie, co uczyniwszy, rozpoznałem w tem gąszczu dużą, ciemną

łoszę, a przypatrując się jej lepiej przez binokle, zobaczyłem, że się położyła i tarzać zaczęła po ziemi. Było to niezwykle ciekawe zjawisko, gdyż nigdy nie słyszałem, aby łosze czyniły coś podobnego.

Udało mi się bliżej podejść, spodziewając się ujrzeć i byka — jednak niewidzialnym był on, a w dodatku i łosza zerwała się i znikła mi z oczu. Kazałem teraz Lorentsowi iść z psami naprzód, a myśmy podążali za niemi, obserwując wciąż tropy, które zaprowadziły nas w górę, w przestronniejszy stary las.

Nakoniec, na samym skraju leśnym wyśledziłem łoszę ze swym małym — o jakie 200 yardów od nas. — Spojrzawszy jeszcze uważniej przez binokle, poznałem wkońcu upragnionego i tak wyszukiwanego byka, który jak cień jakiś ogromny, krył swe cielsko za krzakami!

Wiatr tak zmieniał wciąż swój kierunek, że nie mogłem się dość wydziwić, jakim sposobem do tej pory łoś nas nie zwietrzył! Przyczołgałem się nieco bliżej — wtedy łoś wysunął się cały z krzaków i ukazał mi swą wspaniałą, rosłą postać i duże szerokie łopaty. Wyglądał majestatycznie — śmiało i dumnie, rozglądając się dokoła. Wyprężył się cały, czujnie nasłuchując! Przyglądnąłem się uważnie jego łopatom i zachwycałem się ich wielkością!

Wyczekiwanie przedłużało się i musiałem stać z przygiętemi kolanami ukrywając się gałęzią — w bardzo niewygodnej postawie, — więc jak tylko zdołałem naprowadzić muszkę mego sztucera na określony punkt, za karkiem tego dużego zwierza, z zimną krwią pociągnąłem za cyngiel z zupełnem przeświadczeniem, że byk jest już w mem posiadaniu. Na skutek strzału łoś zatoczył się, a potem znikł pomiędzy brzozami, a za nim biegła łosza z małem. Nie mogłem po prostu wyjść z podziwu, ani też oczom moim uwierzyć, że go nie widzę rozciągniętego przed sobą, nieżywego już, na ziemi! —

W tem zmieszaniu mojem straciłem wiele cennych chwil, nim puściłem się w pogoń w nadziei poczęstowania go drugim strzałem, zanim zniknie zupełnie.

Na chwilę mignęła mi się jeszcze łosza ze swym małym, ale i ona wpadła zaraz w gąszcz leśny.

Zadałem sobie pytania: czy chybiłem zupełnie? Czy może znowu kula trafiła w gałąź i przy zetknięciu rozbiła się? To się często przytrafia w lasach przy teraźniejszych małych kalibrach kul o wielkiej szybkości. Tropy, któreśmy wkrótce odszukali, wcale nie wykazywały farby, chociaż bez wątpienia, kula moja musiała go choć liznąć!

Postępując wciąż za tropami, zeszliśmy zpoczątku w dół, następnie zwróciliśmy się na zachód w górę w okolicę Gauptjern, a ponieważ niezłomną żywiłem nadzieję spotkania się tu później jeszcze z dużym jakim łosiem, postanowiłem dać temu teraz za wygrane. Więc, gdy Andreas i Lorents odeszli do mięsa zabitego dawniej byka, ja zawróciłem z żoną do domu.

Zerwała się silna burza na jeziorze, ku wielkiemu naszemu zadowoleniu, bośmy dzięki temu znaleźli w sieciach naszych siedem wspaniałych pstrągów.

Nazajutrz było zupełnie pogodnie. Andreas poszedł na dolinę sprowadzić człowieka z koniem, by ostatecznie zabrać mięso byka, a ja postanowiłem wyszukać znowu dużego łosia, gdyż święcie byłem przekonany, że go znajdę w tej okolicy między szczytem Storaas a Gauptjern; towarzyszyliśmy więc czas jakiś Andreasowi, a potem odłączywszy się od niego, udaliśmy się na zachodni grzbiet góry Storaasen. Zwiedziwszy to miejsce z największą pilnością i ostrożnością, obszedłszy cały szczyt naokoło, skierowaliśmy się na duże płaszczyzny w okolicy Gauptjern.

Stary Flink zwietrzył tu łosia, ale nic z tego nie wynikło; potem jednak, gdyśmy stanęli na płaszczyźnie, zaczął znów gwałtownie rwać się na smyczy i pociągnął nas w dół, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę, aby rzucić okiem na okolicę rozciągającą się przed nami.

Błyszczało tu duże, szeroko rozpostarte w otwartem polu bagniste jezioro, w końcu którego wysuwała się samotna kępka drzew — niby wysepka. Rozglądając się uważnie przez binokle i patrząc hen, aż na las, ujrzałem coś ciemnego pomiędzy drzewami. Był to, jak się za chwilę przekonałem, piękny okaz łosia — zdaje się mój dobry znajomy z minionych dni. Poznałem teraz wyraźnie, że wartość łopat jego zbyt przeceniałem, gdyż wyraźnie porachowałem tylko 14 pasemek, a przytem łopaty te nie były tak szerokie, jak mi się to przedtem zdawało.

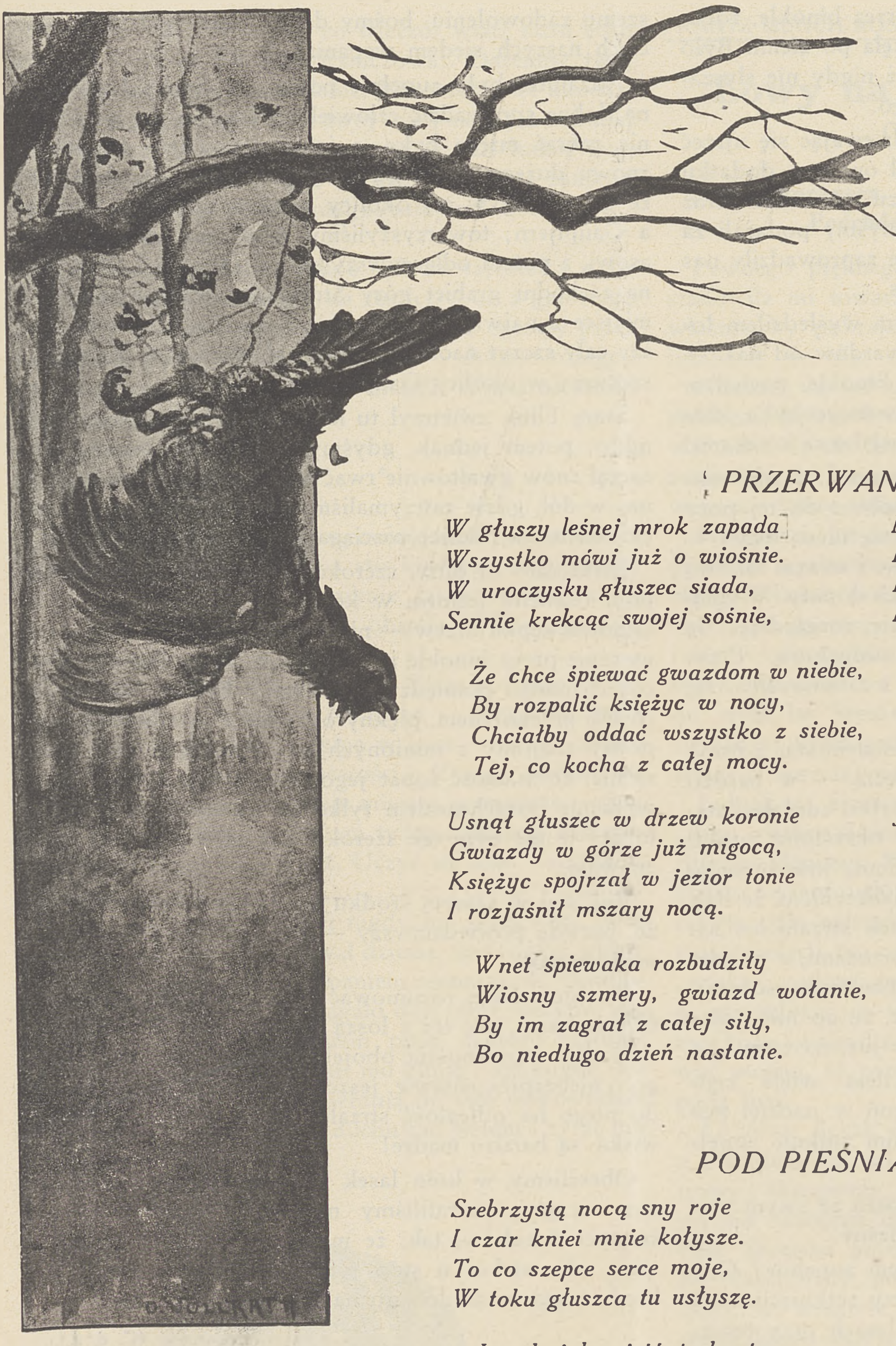
Byk stał w samym środku gęstej kępy drzew — tak, że, prawdę powiedziawszy — był zupełnie bezpieczny, niedostępny!

Zacząłem teraz rozumować: Czy łoś został raniony? Czy był sam, czy też z łoszą i jej małym? W ostatnim wypadku z pewnością obojeby dawno ostrzegły starego o niebezpieczeństwie, jeszcze zanimbym się podkradł do niego na odległość strzału! Łosie w okresie bekowiska są bardzo mądre!

Obeszliśmy w koło lasek z największą ostrożnością i na szczęście natrafiliśmy na grupkę niezbyt rozrośniętych krzaków, tak, że mogły nam służyć za jakie takie schronisko; u stóp tych zarośli teren zniżał się bardzo stromo aż do jaru na samej granicy lasu.

(C. d. n.).





WACŁAW TRZETRZEWIŃSKI

RAMOTY GŁUSZCOWE

Ciąg dalszy

PRZERWANA PIEŚŃ

W głuszy leśnej mrok zapada
Wszystko mówi już o wiośnie.
W uroczysku głuszec siada,
Sennie krekcąc swojej sośnie,

Że chce śpiewać gwazdom w niebie,
By rozpalić księżyc w nocy,
Chciałby oddać wszystko z siebie,
Tej, co kocha z całej mocy.

Usnął głuszec w drzew koronie
Gwiazdy w górze już migocą,
Księżyc spojrzał w jezior tonie
I rozjaśnił mszary nocą.

Wnet śpiewaka rozbudziły
Wiosny szmery, gwiazd wołanie,
By im zagrał z całej siły,
Bo niedługo dzień nastanie.

Najpierw, słychać szlifowaną
Powieść zimy, krótką, smętną,
Potem, wiosną kołysaną
Pieśń szaloną i namiętną.

Może ona ją rozumie
I przeleci w rannej zorzy.
A tam w puszczy ktoś się sunie...
Jest już blisko... za pniem brzozy.

Już brzozowe krople rosy
Chciały głośno krzyczeć, zdrada!
Lecz opadły między wrzosy...
A w takt pieśni, cień się skrada.

Zatrzeszczały chrusty... trwoga,
Lecz kneź[1] śpiewał, przyjdź, kochana!
I nie widział swego wroga...
Wtem strzał pada — pieśń przerwana.

[1] Kniaź

POD PIEŚNIĄ GŁUSZCA

Srebrzystą nocą sny roje
I czar kniei mnie kołysze.
To co szepce serce moje,
W toku głuszca tu usłyszę.

I wzleciała pieśń tęsknoty
Po przez drzewa, w gwiazdy lśniące,
Bo zdziwiony miesiąc złoty
Rzucił w rosy niebo skrzące.

Na miłosne przybądź gody,
Echo niesie pośród ciszy,
Że posłyszą nawet brody.
A kto moją pieśń usłyszy?

Ja wiem, że głuszca kochanka
Przyfrunie zaraz z daleka.
We mgle i słońca poranka.
Nie wiem... czy kto na mnie czeka?

POBUDKA

Hej do kniei, hej na toki!
By tęsknotą rozełkane
Stłumić serce, stawiać [kroki,
Na dywany z mchów utkane.

I w księżycu wykąpaną
Ujrzeć puszczy tajną głębię,
A zrozumieć zakochaną
Brzozę białą — w starym [dębie!

Słyszeć miłość w pieśń [zaklętą
Z wybranego z sosny szczytu
Tę przedziwną, niepojętą
Pieśń radości i zachwytu.

Więc cichutko nie myl kroku,
Gdy podchodzisz głuszca [nocą,
Bo poderwie się na toku.
Tobie w oczach — łzy migocą.

JAN br. GÖTZ-OKOCIMSKI

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Wspomnienie to cicha nuta
wyjęta z tonów przeszłości
Wspomnienie to nić wysnuta,
z złotych chwil młodości.

Kto miał za towarzysza ś. p. Jana Götza-Okocimskiego, ten może powiedzieć, że miał złote chwile młodości. Wspomnę tylko o życiu naszem myśliwskiem, gdyż o Jego pracy i dziełach na innem polu były piękne opisy w „Czasie" i też świetnie przedstawił je podczas obrzędu pogrzebowego ks. biskup Komar. Końcowe jego słowa były: „Jeden z najlepszych synów kościoła, jeden z najlepszych synów ojczyzny, jeden z najlepszych dla własnej rodziny i dla tych, którymi się opiekował, najlepszy chlebodawca i przełożony swych urzędników i wogóle pracowników". — Poświęcając swe wybitne zdolności i wykształcenie dla dobra publicznego, jako polityk, szedł zawsze raz obraną prawą drogą, nie robiąc ustępstw, któreby stały w przeciwieństwie z jego przekonaniami.

Wśród natężającej pracy, polowanie było dla niego najmilszą, może jedyną rozrywką i odpoczynkiem. Jako świetny myśliwy i jeden z najlepszych strzelców, łączył amatorstwo polowania z powiększaniem i hodowlą zwierzostanu, również z podziwianiem przyrody. Zwracał mi często uwagę na piękne, dalekie widoki, szczególnie w naszych Karpatach. Nie chodziło mu o to, aby się nastrzelać. Jako wogóle genialny organizator, również i polowania swoje świetnie prowadził, imponowały one porządkiem i naprzód obmyślanym planem.

Po powrocie z uniwersytetu, początki naszych polowań zaczynały się w Okocimie, wśród których zachęcałem mego towarzysza do brania udziału w polowaniach na dziki w ówczesnej wschodniej Galicji. Polowaliśmy zwykle we trójkę t. j. ś. p. Jan G., Jego szwagier, znany myśliwy, Artur hr. Sumiński i ja. Później nasze stosunki myśliwskie i tereny zaczęły się rozszerzać a do najpiękniejszych należały Tuszów, słynący z różnorodnej zwierzyny a mianowicie: jeleni, dzików, sarn, lisów, cietrzewi, jarząbków, słonek a trafiało się, że na rozkładzie leżała też wydra i kuna leśna.

Następnie terenem wspólnie przez nas opolowywanym były Pieniaki, Założce, Bukówna, Kamień i inne. W kniejach tych polowano po kilka dni, a na dowód, jaki był wtedy stan zwierzyny, nadmienię, że jednej zimy ś. p. Jan G. i hr. Andrzej Potocki z moim bratem Tadeuszem, zabili przed psami 82 dzików.

Nadmienię tu jeden epizod charakteryzujący Jego osobę: Było to na wyprawie w północnej Rosji. Wracając raz po skończonej obławie na ski do sań na kraju lasu, mieliśmy tylko jednego miejscowego przewodnika, gdyż reszta została jeszcze dla obielenia upolowanego niedźwiedzia. Wydawało się nam, że powrót za długo trwa. Podejrzewaliśmy, że przewodnik zbłądził. Było przytem dość ciemno, zawieja i około 30 stopni mrozu. Pomęczeni jazdą na ski, pomiędzy krzakami często upadaliśmy. Była chwila, że mój towarzysz nie mógł już się podnieść. Wtedy odezwał się do mnie: Idź dalej, abyś przypadkowo wraz ze mną i ty nie zamarzł. Gdy mu powiedziałem, że to wykluczone a na otuchę powiedziałem, że poczułem dym z ognisk, przy których oczekiwali nasi ludzie z saniami, podniósł się i w pół godziny doszliśmy szczęśliwie do nich. W kilka dni później po powrocie do Petersburga, mogliśmy już spokojnie i wygodnie opowiadać o naszych przygodach, na miłych wieczorach u hr. Józefa Potockiego i Ksawerego Orłowskiego.

Wielkiem ułatwieniem w naszych wyprawach było, że znał On prawie wszystkie kulturalne języki europejskie, co bardzo ułatwiało sytuację w porozumieniach z obcymi.

Wspaniałą pamiątkę pozostawił On po sobie w licznych trofeach myśliwskich, które tworzą w Okocimie wielką galerję niezwykłych okazów. Są między niemi: bizon, łosie, niedźwiedzie, rysie, wilki, dziki, około stu okazałych rogów jelenich i innych.

Pamiątki zostały, ale Jego zabrakło.

Będąc w senacie w Warszawie, nabawił się On choroby przez zatrucie się nieświeżą rybą przed kilku laty. Podkopywała ona siły Jego żywotne pomimo wszelkich zabiegów najlepszych lekarzy. Gdy ostatni raz odwiedziłem mego przyjaciela w Cap d'Ail, czuł się lepiej. Robiliśmy nawet projekty myśliwskie, gdy powróci zupełnie do zdrowia. — Niestety, nadzieje te okazały się zwodnicze.

Dnia 25-go kwietnia w Okocimie, przy końcu smutnego obrzędu usłyszałem słowa „requiescat in pace". Trudno było zrozumieć i pojąć, że to rzeczywistość...

Czahrów, 1931 roku.

J. C.



Doświadczenia z prochem „Sokół“

W sprawie doświadczeń i spostrzeżeń z krajowym prochem „Sokół“, pisze nam p. Kazimierz Grocholski co następuje:

„Rożyska, 28 kwietnia 1931.

„Strzelałem zawsze nabojami Warsz. Spółki Myśliwskiej, która przedtem ładowała je niemieckim prochem Rottweil a w zeszłym zaczęła ładować je prochem „Sokół“, polskim, wyrabianym w Zagożdżoniu.

W ubiegłym sezonie dałem temi nabojami około tysiąca strzałów i skonstatowałem, że działanie jest dobre i może się równać temu, jakie miały tej firmy naboje, przedtem ładowane niemieckim Rottweilem.

Tak zwanych „zaciągów“ (Nachbrenner) nie miałem.

Natomiast muszę zauważyć, że często naboje firmy Warsz. Spółka Myśliwska są źle skalibrowane i nie chcą wchodzić lekko do komory nabojowej a zapchane silnie, nie wyskakują pod naciskiem sprężyny ejektorów, co jest poważnym błędem. Jednakowoż nie wszystkie są źle skalibrowane; zdarzają się jednak dosyć często takie serje.

Spłonki w nabojach przeze mnie używanych były czerwone (miedziane) Gevelota.

Używałem także czasami naboi śrutowych firmy „Pocisk“, bo te można wszędzie i w mniejszych składach na Podolu otrzymać — podczas gdy „Warsz. Spółki“ są trudniej do nabycia na prowincji. Otóż wedle mego zdania naboje firmy „Pocisk“ są słabsze od Warsz. Spółki — przy silnym mrozie mają za małą penetrację a często zdarzały mi się przy nich „Nachbrennery“ t. zn. „zaciągi“. Źle skalibrowanych natomiast naboi pomiędzy „Pociskami“ nie zdarzyło mi się spotkać.

Kazimierz Grocholski

Zamieszczamy tę opinję jednego z najpoważniejszych myśliwych Małopolski w dosłownem brzmieniu, jako charakteryzującą doskonale zalety i wady naszych gatunków amunicji krajowej.

Redakcja



KORESPONDENCJE

Łysa 10 kwietnia 1931 r.

Sprawozdanie łowieckie z pow. Podhajce

Dnia 20 grudnia 1930, polowanie w Szumlanach u p. St. Gielewskiego. W 7 strzelb ubito 1 lisa i 20 zajęcy. Silna okiść i głębokie śniegi.

Dnia 22 grudnia 1930 polowanie na terenie gm. Łysa, dzierżawionym przez podpisanego. W 6 strzelb ubito 1 rogacza, 1 lisa, 24 zajęcy.

Dnia 24 grudnia 1930 polowanie wigilijne w Sławentynie u pp. Marcelego i Adama Gołębskich. W 9 strzelb ubito 1 jarząbka i 54 zajęcy. W kilku miotach, gdzie były spodziewane dziki, do zajęcy nie strzelano.

W dniach 20 i 21 stycznia 1931 polowano w Litwinowie u p. W. Lityńskiego. W 9 strzelb ubito 4 lisy i 117 zajęcy.

Dnia 30 stycznia 1931 w Krasnolesiu u p. Romana Gołębskiego zabito w 7 strzelb 2 dziki i 28 zajęcy.

Nadto na polowaniu u.p.Dra A. Raczyńskiego w Zawałowie zabito 1 dzika, 1 lisa i 44 zajęcy; jesienią u p. W. Lityńskiego w Litwinowie 1 rogacza, 17 zajęcy, zaś w lutym b. r. 2 dziki i 4 lisy.

Zygmunt Strigl
delegat na pow. podhajecki

Sprawozdanie Towarzystwa Myśliwskiego „Czernichów”

Spółka myśliwska pod nazwą jak wyżej, posiadała w r. 1930 obszaru prawie 14.000 hektarów. Pewna część terenu była uważana za teren ochronny i tam też polowań nie było. Obszar ten jest tak położony, że gminy wydzierżawione są w ścisłem sąsiedztwie i stanowią prawie jedną całość i dlatego łatwiej nam dozorować i prowadzić kulturę.

Czynsz dzierżawiony wynosił przeszło 5.600 zł., na co składało się 12 myśliwych, należących do Tow. myśliwskiego. Poza tym czynszem były i inne znaczne wydatki, a więc koszta urządzenia gremjalnych polowań, opłata 22 strażników, premia za kłusowników i wynykarzy, których przytrzymano 38 i oddano do dyspozycji władz, nadto niszczenie szkodników również sporo pieniędzy Spółkę kosztowało. Trzeba jednak zaznaczyć, że władze, tak administracyjne, jak i sądowe, mało mają zrozumienia dla szkód, które ponosi Towarzystwo przez kłusowników, bo kary są tak minimalne, że kłusownikowi opłaci się ponieść karę 3 zł. za złapanego bażanta, kiedy cena bażanta w sklepie była wtedy zł. 6 do 7. — Premia za tych kłusowników wynosiła 1061 zł., które Towarzystwo wypłaciło strażnikom. Za tępienie zaś szkodników Towarzystwo wypłaciło 1656 zł.

Rzeczywiście w r. 1930 strażnicy spisali się dobrze, bo zabito na tym terenie 142 psów, 288 kotów, 74 łasic, 101 jastrzębi, 124 wron, 195 srok, oraz gniazd szkodników zniszczono 42, na co zużyto przez strażników 1167 naboi wydanych im bezpłatnie przez p. Łowczego. —

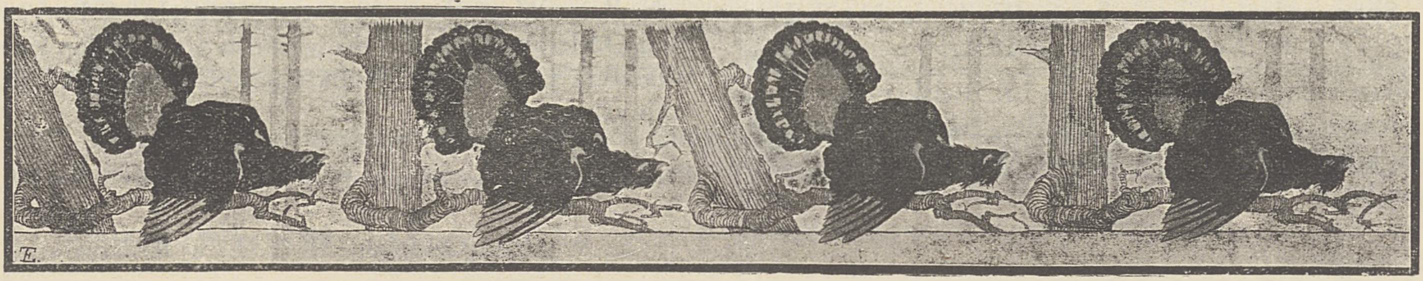
Dwóch najdzielniejszych strażników, którzy rzeczywiście starali się o tępienie szkodników i łapanie kłusowników Towarzystwo „Czernichów" podało do Małop. Tow. Łow. we Lwowie z prośbą o ich odznaczenie i mamy nadzieję, że prośba ta odniesie pożądany skutek.

Oprócz polowań w pojedynkę na kuropatwy, bażanty, kaczki i krzyki, (bo na zające w pojedynkę nie poluje się wcale), odbyło się wspólnych polowań 12, na których bywało zwykle 8, a najwyżej 14 myśliwych i na tych wszystkich polowaniach wraz z ubitemi w pojedynkę, padło: 3 kozły, 590 zajęcy, 7 królików, 370 kuropatw, 66 bażantów, 6 gołębi, 40 kaczek, 31 krzyków i 1 kulik.

Mogłoby paść więcej zwierzyny, gdyby Towarzystwo jej nie oszczędzało, ale nasza Spółka poluje głównie dla myśliwskiej przyjemności polowania w dobranem kółku i nie chodzi nam o wybicie jak największej ilości zwierzyny.

Stan zwierzyny na ogół był dobry, a jak obecnie donoszą nam strażnicy, kuropatwy i bażanty przezimowały dobrze, natomiast lęg marczaków, można powiedzieć, całkiem przepadł wskutek stałych mrozów, tak, że bardzo wiele zmarzniętych noworodków znajdowano na naszym terenie.

Dr. J. S.
delegat na pow. Krakowski



ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW

Oddziału Małop. Towarzystwa Łow. w Krakowie za czas od dnia 1 stycznia do 31 grudnia 1930 r

L. p.		PRZYCHÓD zł	gr	zł	gr
1	Pozostałość kasowa z r. 1929 jako rezerwa na wyrównanie należyto- Centrali Tow.			3118	38
2	Wpisowe członk.			12	—
3 a)	Wkładki członk.	7438	50		
b)	Udział Oddz. w wkładkach Centrali za 1929 r.	481	25	7919	75
4	Wpłaty na odznaki łow.			27	—
5 a)	Odsetki z rku P. K. O.	6	70		
b)	„ z wkładek oszcz. za 1929	51	47	58	17
6	Wkładki na Ochr. Przyr.			8	10
7 a)	Zwroty za porto	3	50		
b)	Różne		80	4	30
				11.147	70

L. p.		ROZCHÓD zł	gr	zł	gr
1 a)	Udział Centrali Tow. w wkładkach członk. Oddz. za 1929 r.	3389	57		
b)	Udział Centrali Tow. w wpisowem członk. Oddz. za 1929 r.	8	40		
(c	Należytość Centrali za sprzedaż odznaki łowieckiej 1929 r.	12	—	3409	97
2	Druki i powielania			41	50
3 a)	Potrzeby biura	423	37		
b)	Prowadzenie i pomoc biura . . .	1555	—	1978	37
4	Porto i stemple			162	30
5 a)	Prowizja P. K. O.	36	95		
b)	„ inkasowa	149	19	186	14
6 a)	Prenumerata pism	48	—		
b)	Książ. łow.	64	20		
c)	Składka na cele kult.	20	—	132	20
7	Wypłata wkł. na Ochr. Przyr. . .			8	10
8	Stan Kasy z dn. 31. XII. 1930 (jako rezerwa na wyrównanie udziału Centrali w wkładkach etc. Oddziału)				
a)	Kasa podręczna . .	198	36		
b)	Poczt. Kasa Oszcz. .	479	29		
c)	Książ. wkł. PKO. . .	4551	47	5229	12
				11.147	70

Kraków, dnia 31-go grudnia 1930 r.

Prezes: *Stiller* m. p. em. gen. dyw.

Sekretarz i Skarbnik: *Morawetz* m. p.

Komisja rewizyjna dnia 15 kwietnia 1931 r.
M. Górka m. p. *Z. Józefczyk* m. p.

Za zgodność z oryginałem:
Kraków, dnia 16-go kwietnia 1931 r.

Sekretarz:
Morawetz:



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 5 maja 1931.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni: wiceprezesi A. Mniszek i A. Sander, członek Komisji rewizyjnej D. Toth, członkowie Wydziału: M. Chrzanowski, St. Pieńczykowski, H. Prek, Dr. J. Rosienkiewicz, A. Ulm, zastępca St. Madeyski, zaproszony prof. R. Wacek.

Nieobecność usprawiedliwili: inż. A. Ebenberger, St. Jaśkiewicz, Dr. A. Małaczyński i Dr. Fr. Piechowski.

Wysłuchano sprawozdania Komisji rewizyjnej i przyjęto do wiadomości jej wnioski dotyczące książkowania w przyszłości zaległych wkładek i funduszu Ołtarza św. Huberta.

Zgodnie z wnioskiem wiceprezesa Mniszka, postanowiono zwrócić się przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich do Szefostwa Departamentu uzbrojenia przy M. S. W. z prośbą, by ono spowodowało istniejące w Polsce fabryki amunicji, aby one przystąpiły rychło do wyrobu także myśliwskiej amunicji kulowej, gdyż, wskutek zamknięcia granicy niemieckiej, myśliwi polscy odczuwają brak amunicji do broni kulowej.

Delegatem zamianowano Władysława Gumińskiego w Tarnopolu, w tym powiecie.

Wpoczet członków został przyjęty Juljusz Gozdawa-Godlewski w Warszawie.

Nadano dyplomy honorowe za działalność na polu ochrony łowieckiej, następującym funkcjonarjuszom Policji Państwowej: Józefowi Piotrowskiemu posterunkowemu w Lubaczowie, Jakóbowi Stochmalowi posterunkowemu w Dzikowie Starym, Grzegorzowi Żwirowi posterunkowemu w Dzikowie Starym, Stanisławowi Zagórskiemu przodownikowi P. P. w Dzikowie Starym, Władysławowi Purze star. przodownikowi i komendantowi posterunku w Gródku Jagiellońskim.

Nadano dyplom i odznakę honorową Michałowi Zazwirskiemu w Wetlinie, w uznaniu jego gorliwej służby — wykonywanej niejednokrotnie w niebezpieczeństwie życia.

Z Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie

Zgodnie z uchwałą dorocznego Ogólnego Zebrania członków Oddziału M. T. Ł. w Krakowie z dnia 26 IV b. r., zapraszamy niniejszem na

NADZWYCZAJNE OGÓLNE ZEBRANIE CZŁONKÓW ODDZIAŁU,

które odbędzie się w środę dnia 27 maja b. r. o godz. 6-tej popoł. w Krakowie w sali Towarzystwa Strzeleckiego przy ul. Lubicz 16.

Na porządku dziennym: Sprawa nowelizacji prawa łowieckiego.

N. B. — W myśl art. 18 statutu M. T. Ł. i § 5 organizacji Oddziału M. T. Ł., do ważności uchwał Og. Zebr. wystarcza jakakolwiek liczba obecnych członków zwyczajnych.

Kraków, dnia 1 maja 1931 r.

Za Wydział Oddziału M. T. Ł. w Krakowie:

Stiller, em. gen. dyw. — *Morawetz*
Prezes — Sekretarz

KOMUNIKAT

Starostwo w Wadowicach L. II—3/Bo/31. zawiadamia, że dnia 20 maja 1931 o godzinie 11-tej przed południem, odbędzie się w Starostwie w Wadowicach licytacyjna sprzedaż broni uznanej za przepadłą w ilości 6 sztuk dubeltówek i 5 sztuk pojedynek z nadmienieniem, że broń ta jest niemal bez wartości.

SPROSTOWANIE

W korespondencji „Po sezonie" w Nr. 9 „Łowca" z dnia 1 maja b. r. zakradły się następujące omyłki druku:

Na stronie 140, szpalta druga, ustęp szósty, wiersz 26 od góry, zamiast zniekształconego a więc niezrozumiałego ustępu ma być: **„Stan kuropatw poprawił się w tutejszym powiecie także bardzo znacznie a zwłaszcza na terenach łowieckich Staromieścia u p. delegata Jana Jędrzejowicza i w niektórych łowiskach dzierżawionych przez Rzeszowskie Towarzystwo Myśliwych jest stan kuropatw bardzo piękny"**.

Na stronie 142, szpalta pierwsza, ustęp pierwszy wiersz 1, zamiast słowa „apelujemy" ma być **„apelujmy"** — zaś w ustępie piątym, wiersz 40, zamiast słów: „a następnem druga połowa" ma być: **„a na następnem druga połowa"**.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16